

Mój problem z Bogiem

24 czerwca 2014

Kiedy zbierałam materiały do książki o kanonach naukowych i zadrećczałam setki badaczy na najlepszych uniwersytetach kraju pytaniami o to, jakie ich zdaniem są najważniejsze witaminy i minerały biegłości w ich dziedzinach, jedno powtarzające się przesłanie wbiło mnie w rodzaj otępienia z migającymi disneyowskimi gwiazdkami w oczach. Biolodzy, geolodzy, fizycy, chemicy, astronomowie czy inżynierowie, dosłownie wszyscy moi rozmówcy umieszczali na czele swojej listy życzenie, by ludzie rozumieli naukę, z naciskiem na szalową ideę Darwina. Błagali mnie: Proszę powiedzieć ludziom, że ewolucja jest faktem. Proszę im wyjaśnić, że są przytłaczające dowody na rzecz ewolucji i że zrozumienie ewolucji służy jako podstawa naszego rozumienia wszelkiego życia na tej planecie.

Innymi słowy naukowcy chcieli, żebym przyłożyła się do prób zmiany koszarnej statystyki, o której ciągle słyszą, a wskazującej na to, że o wiele więcej Amerykanów wierzy w anioły, diabły i złośliwe duchy niż dowody na rzecz ewolucji.

Według niedawnego badania opinii publicznej 82 procent Amerykanów jest przekonanych o rzeczywistym istnieniu niebios (a 63 procent sądzi, że tam właśnie udadzą się po śmierci); 51 procent wierzy w duchy; ale tylko 28 procent przekonuje teoria ewolucji.

Naukowcy uważają, że to straszne – to dziwaczne niedocenianie przez społeczeństwo jednego z największych i najbardziej niezachwianych odkryć nauki: o tym jak powstałiśmy my i wszystko co żywe – i mają rację.

Nie mogę jednak powstrzymać irytacji na ograniczenia, jakie większość z nich nakłada na swoje narzekania. Chcą mianowicie powiększyć liczbę ludzi uznających ewolucję – bez konfrontowania kilku innych istotnych statystyk o kosmogonii

religijnej Ameryki, ujawnionych przez badania opinii publicznej.

Na przykład niewielu naukowców martwi się, że około 77 procent Amerykanów twierdzi, że Jezus narodził się z dziewicy w akcie partenogenezy, przeczącym wszystkiemu, co wiemy o genetyce i rozmnażaniu się ssaków. Nie załamują również rąk nad 80 procentami Amerykanów, którzy wierzą w zmartwychwstanie Jezusa i odsyłają do diabła prawa termodynamiki.

Nie, większość naukowców nie jest zainteresowana konfrontacją z samymi fundamentami chrześcijaństwa. Narzekają na irracjonalne myślenie, pogardzają „nauką” kreacjonistów, przewracają oczami nad fascynacją Ameryki astrologią, telekinezą, zginaniem łyżek, reinkarnacją i UFO, ale są tolerancyjni, pełni szacunku, i rewerencji wobec większości aktów magicznych, które zdobyły imprimatur przez włączenie do Biblii.

Wielu chętnie wskazuje na to, że Kościół Katolicki udzielił poparcia teorii ewolucji i nie widzi konfliktu między wiarą w Boga i w boskość Jezusa a koncepcją ewolucji w drodze doboru naturalnego. Jeśli kupuje to papież, to przyczyna oporu większości Amerykanów wobec ewolucji musi mieć mniej wspólnego z religią, a więcej z marną kampanią reklamową.

Tak więc w sprawie głównych religii monoteistycznych i irracjonalności leżącej u podstaw wielu z podstawowych zasad religii naukowcy odkładają na bok szpilki, prychnięcia i niecierpliwe domaganie się dowodów, a zamiast tego przywdziewają uspokajający sweter aktora prowadzącego program dla dzieci w publicznej telewizji. Zapewniają publiczność, że religia i nauka nie są ze sobą sprzeczne, ale że reprezentują odrębne „magisteria”, jak to bardzo niespójnie formułował nieżyjący już Stephen Jay Gould.

Nikt nie będzie żądał od ludzi, by zrezygnowali ze swojej wiary religijnej, z wiary w wieczną duszę wraz z nieśmiertelną

pamięcią każdego meczu piłki nożnej, który wygrały ich dzieci, i każdej chwili spędzonej na zabawie z psem. Nikt nie będzie drwił z ich religijnych przekonań. No cóż, jeśli chcesz wierzyć, że któregoś dnia będziesz siedział na niebiańskim bankiecie z twoim dawno zmarłym ojcem po prawej ręce i Jane Austin po lewej – i że będzie ona miała ochotę na rozmowę z tobą przez następne sto milionów lat albo więcej – to jest to twój prywatny relikwiarz i nie jesteśmy od tego, żeby włamywać się do niego łomem.

Przypatrzmy się bardzo różnemu traktowaniu dwóch pytań przedstawionych na forum internetowym Cornell University noszącym tytuł: „Zapytaj astronoma”. Na pytanie „Czy w oparciu o istniejące dowody większość astronomów wierzy w Boga?” astronom Dave Rothstein odpowiada, że jego zdaniem „współczesna nauka zostawia wiele miejsca na istnienie Boga (...) miejsca, w które ludzie wierzący w Boga mogą wpasować swoją wiarę w ramy naukowe bez tworzenia żadnych sprzeczności”. Podaje Wielki Wybuch jako koncepcję przynoszącą pociechę tym, którzy chcą wierzyć w jej odpowiednik z Księgi Rodzaju, i probabilistyczne dziedziny mechaniki kwantowej jako coś, co podnosi możliwość „Boga interweniującego za każdym razem, kiedy dokonuje się pomiaru”, zanim dochodzi do wniosku, że ostatecznie nauka nigdy nie może dowieść istnienia lub nieistnienia boga, a wiara religijna nie ma – i nie powinna mieć – „nic wspólnego z rozumowaniem naukowym”.

O ile mniej aksamitna jest odpowiedź czytelnikowi pytającemu, czy astronomowie wierzą w astrologię. „Nie, astronomowie nie wierzą w astrologię” odpowiada gniewnie Dave Kornreich. „Uważają ją za niedorzeczne oszustwo. Nie ma żadnych dowodów, że działa, a jest mnóstwo dowodów, że nie działa”. Dr Kornreich kończy swoją pogardliwą tyradę twierdzeniem, że w nauce „nie potrzeba powodu, żeby w coś nie wierzyć”. Sceptycyzm jest „pozycją wyjściową” i „dowodu żąda się, kiedy ma się zostać przekonanym o istnieniu czegoś”.

Innymi słowy ciężar dowodu spoczywa całkowicie na fanach

horoskopów, biednych naiwnych dupkach; podczas gdy od rzesz ludzi wierzących w taki czy inny sposób, że boska inteligencja prowadzi każdy skaczący lepton, nie wymaga się żadnego dowodu, nie muszą oni przewyżać żadnego sceptycyzmu, nie muszą się martwić. Jako wierzący możesz znaleźć delikatne poparcie swojej wiary religijnej w niedawnych odkryciach – to jest, jeśli jesteś skłonny do zmieniania swoich przerośni i definicji zgodnie z wymaganiami najnowszych danych, do wyszukiwania nowych nisz ignorancji i wieloznaczności, żeby je wypełnić gęsim puchem wiary, i zaakceptować, że mimo pewnych akapitów Starego Testamentu, świat jest bardzo stary, nie wszystko w naturze zostało zrobione w tydzień i (proszę podkręcić mikrofony!) Ewolucja Ma Miejsce.

A jeśli w rozległym targowisku nauki nie znajdujesz uzasadnienia dla swojego wybranego bóstwa czy dla swojej najbardziej cenionej wersji życia pozagrobowego, to jest to także w porządku. Nie ma potrzeby tracić wiary, kiedy od początku szukało się w złym miejscu. Nauka nie może ci powiedzieć, czy Bóg istnieje, ani gdzie pójdiesz po śmierci. Nauka nie może ostatecznie wykluczyć opcji niebios z balonikami napełnionymi helem i włosami jak z reklamy szamponu Brecka dla wszystkich. Nauka w żadnym razie nie chce być kojarzona z przerażającymi myślami, jak na przykład możliwość, że świadomość dana ci na blisko stulecie przez pofałdowany, galaretowaty i przemijający organ w twojej czaszce, może po prostu być całą historią ciebie i wszystkiego o tobie. Nauka nie jest arogancka. Nauka zajmuje się dającym się obserwować wszechświatem i dającymi się sprawdzać hipotezami. Religii zostaje irracjonalna panika o północy. Ale o ewolucji słyszeliście, prawda?

No to dlaczego większość naukowców unika krytykowania religii, mimo że potępiają magiczny sposób myślenia? Po pierwsze niektórzy badacze sami są tradycyjnie pobożni, utrzymując koszerłą kuchnię czy idąc do komunii w każdą niedzielę. Przyznaję, że jestem zaskoczona za każdym razem, kiedy

spotykam religijnego naukowca. Jak może wprowadzony w tajniki laboratoryjnego warsztatu doktor nauk, który po południu robi marmoladę z prezentacji genomu nicieni przedstawionej przez kolegę na PowerPoint, a potem idzie do domu, czytać w liczącej dwa tysiące lat, rojącej się od sprzeczności kronice o odkryciu zasługującym na meta-Nobla jak „wskrzeszenie ze zmarłych” i mówić: o rety, to brzmi przekonująco? Czy taki pocziwy doktor nie zastanawia się, jak wyglądała grupa kontrolna?

Naukowcy to jednak znacznie mniej religijne towarzystwo niż populacja amerykańska, a im wyżej wspinasz się na Olimp jajogłowych tym większa proporcja ateistów, agnostyków i innych rozmaitych pogan. Według badania z 1998 roku, opublikowanego w „Nature” tylko 7 procent członków prestiżowej Amerykańskiej Akademii Nauk wyrażało wiarę w „osobowego Boga”. (To ciekawe, że nieco większa liczba – 7,9 procenta – twierdziła, że wierzy w „osobową nieśmiertelność”, co może mówić równie wiele o nadętości ich naukowego ego, jak o czymkolwiek innym.) Innymi słowy, ponad 90 procent naszej elity naukowej nie modli się o boskie poparcie, niezależnie od tego jak bardzo chcą zdążyć z publikacją przed rywalem.

A jednak tylko garstka niewiernych publicznie ujawnia swoją niewiarę lub krytykuje religię, z godnymi uwagi i elokwentnymi wyjątkami w postaci Richarda Dawkinsa z Oxfordu i Daniela Dennetta z Tufts University. Dawkins i Dennett nie zyskali zbyt wielkiej przychylności swoich kolegów za poglądy antyklerykalne; pewien astronom, z którym rozmawiałam, powiedział o Dawkinsie: „Czyż to nie prawdziwy kaznodzieja parafialny ze szkoły dyszących ogniem piekielnym i siarką?”

Dlaczego więc większość naukowców milczy w sprawie religii? Prawdopodobnie chodzi o coś bliskiego staremu, wiernemu refleksowi układu limbicznego nazywanemu „instynktem samozachowawczym”. Przez stulecia nauka dobrze sobie żyła dzięki kształtowaniu swojego wizerunku rezerwy i obiektywności, bycia ponad religią, polityką, biznesem,

dobrymi manierami. Naukowcy chcą, by ich zostawić w spokoju, żeby mogli wykonywać swoją pracę, olśniewać swoich kolegów i zatrudniać absolwentów uniwersyteckich do mycia szkła laboratoryjnego.

Kiedy dochodzi do walki poza murami, naukowcy ostrożnie wybierają swoje krucjaty. Dobieranie się do Uri Gellera czy raelian jest rozrywką bez ryzyka, łatwiejszą niż naśmiewanie się z wydziału socjologii. Zwalczanie obozu kreacjonistów jest dużo trudniejszą i mniej przyjemną walką, ale ci naukowcy, którzy się tego podjęli, uważają, że mają bezpośrednią stawkę w debacie i mają prawo ją podjąć, ponieważ kreacjoniści, a ostatnio adwokaci teorii „inteligentnego projektu”, twierdzą, że w swej metodologii są równie naukowci jak naukowcy.

Kiedy jednak nastolatka o nazwisku Darrel Lambert wyrzucono ze skautów za to, że jest ateistą, naukowcy nagle przypomnieli sobie te wszystkie żele, których muszą dopilnować, i ciemną materię, którą muszą znaleźć, i siedzą cicho. Lambert wyjaśnił powody, dla których został ateistą, mimo dzieciństwa spędzonego na lekcjach o Biblii i w młodzieżowych grupach kościelnych. W 9 klasie miał lekcje biologii i zamiast poświęcać się studiowaniu zarysów biustonosza siedzącej przed nim dziewczynki, naprawdę nauczył się nieco biologii. A to, czego się nauczył, przekonało go, że Biblia pełna jest... krótkich opowiadań. Niektóre z nich są dobre, niektóre inspirujące, niektóre wręcz pikantne, niemniej wszystkie są fikcją. Za jego przenikliwe, przemyślane i naukowe spojrzenie na życie i za odmowę sfałszowania danych i po prostu skłamania skautom o swoich myślach o Bogu – jak mu niektórzy doradzali – Darrel Lambert powinien był otrzymać stojącą owację od całej społeczności naukowej. Zamiast tego musiał zadowolić się wywiadem z Connie Chung, nadanym bezpośrednio po reportażu o rodzinie Gambino.

Naukowcy mają dostatecznie ważny powód, by uważać, że muszą unikać wizerunku antyreligijnego, prionowego organizmu, zdecydowanego na zniszczenie najświętszej jałówki w Ameryce. W

końcu badacze uniwersyteccy pasą się na pastwiskach podatników. Jeśli w najmniejszym choćby stopniu śledzą wiadomości, zauważyli z pewnością wzrastającą gotowość konserwatywnych polityków i szeregu wysoce motywowanych organizacji religijnych do wtrącania się do naukowej działalności – zmieniając internetową stronę informacyjną dla konsumentów przy National Cancer Institute, żeby aborcja wyglądała jak przyczyna raka piersi, czym oczywiście nie jest, lub zapełniając naukowe ciała doradcze anty-aborcyjnymi „uzdrowicielami wiarą”.

Niedawno mało znany klub o nazwie „Koalicja tradycyjnych wartości” zaczął przeczesywać opisy projektów wspieranych przez Krajowy Instytut Zdrowia i zgłaszać zażalenia do przychylnie nastawionych kongresmanów na te projekty, które uznali za moralnie „zgniłe”, w większości badania nad zachowaniami seksualnymi i zapobieganiu AIDS. Kongresmani z kolei rozpoczęli szereg przesłuchań, wzywając urzędników Instytutu, by zapytać, kogo na Boga obchodzą perwersje indiańskich homoseksualistów, na co badacze odpowiedzieli, jak to, ale przecież badania zostały zatwierdzone przez zespół ekspertów naukowych i, hm, społeczność Indian północnoamerykańskich otrzymuje zbyt mało uwagi i pomocy i ma teraz prawdziwy problem z AIDS. Jak dotąd projekt uniknął skreślenia, ale nagi pokaz pobożnie wyszczerzonych zębów z pewnością musiał przestraszyć najbardziej nawet zadziornego, wolnomyślnego profesora, wygodnie usadowionego na stałym etacie. Manipulowanie opisem darwinizmu w podręcznikach szkolnych to jedna rzecz. Ale grozić odebraniem ocenionej przez środowisko dotacji naukowej! Ten Dan Dennett; to jest trochę pompatyczny gaduła, prawda?

Niemniej w rezultacie wzdrygania się i kapitulacji przychodzi kolejny łomot. Nie wystarcza teraz, by kandydaci na prezydenta mimochodem wspominali o swojej „wierze”. Teraz dziennikarz z „Newsweeka” uważa za swój przywilej, jeśli nie obowiązek, żądać od Howarda Deana odpowiedzi: „Czy uważa pan Jezusa

Chrystusa za syna Boga i wierzy w niego jako w drogę do zbawienia i wiecznego życia?" W mojej osobistej bajce Dean, który jest lekarzem i plasuje się gdzieś w typie Scientificus, mógłby zagrmieć: „No cóż, przy jego poglądach na wielbłądy i bogaczy z pewnością nie głosowałby na republikanów!” albo mógłby odpowiedzieć: „Nie, ale słyszałem, że ma kompleks Mela Gibsona”. Dr Dean mógłby mówić o swoich pacjentach, którzy doznali udarów i stracili samą istotę swojej osobowości oraz o tym, że widział absolutnie zasadniczą rolę mózgu dla poczucia bycia jednostką. Mógłby wyrazić wątpliwość, czy „ja” przeżywa mózg, ale, tak już jest, życie idzie dalej, życie jest większe, silniejsze i lepiej wyposażone niż jakikolwiek Bush w kombinezonie i jesteśmy częścią dzikiej, kłębiącej się rzeki życia, nasze cząsteczki były cząsteczkami dinozaurów, a przedtem gwiazd, i nie jest to nonsensowna bajeczka, jest to potwierdzona rzeczywistość.

Na nieszczęście dla mojego urojonego spektaklu dr Howard Dean nie miał żadnego wyboru i musiał potakiwać, że tak, z pewnością widzi Jezusa jako syna Boga, chociaż przynajmniej zrobił unik w kwestii wiecznego życia pokornie mamrocząc o tym, że jego zbawienie nie zależy od niego.

Mogę być ateistką i może mi imponować, że dzięki konsekwentnemu rygorowi nauki, której brew – podobna do brwi Spocka – zawsze uniesiona jest w powątpiewaniu, wiele nauczyliśmy się o wszechświecie. Niemniej dostrzegam, że tu czy tam, tam czy tu, wszędzie jest pełno niewyjaśnionych dziwów. Dlaczego jest tak dużo ciemnej materii i ciemnej energii w wielkim Wszechświecie i dlaczego kosmolodzy nie mogli im dać wystarczająco niepodobnych nazw, bym mogła je odróżnić? Dlaczego istnieje coś zamiast niczego, i dlaczego tak wiele z tego znajduje się na moim biurku? Żeby już nie wspomnieć stałego misterium e-maili, jak na przykład, dlaczego codziennie przychodzi do mnie powiększający się wykładniczo spam, z którego dziewięć dziesiątych stanowią zachęty, bym powiększyła wypustkę ciała, której nie posiadam?

Rozumiem, że nauka nie ma wszystkich odpowiedzi i nie udaje, że je ma, i jest to jedna z rzeczy, za które ją kocham. Ma ona jednak dość dobre pojęcie o tym, co jest prawdopodobne czy możliwe, a dziewiczych porodów oraz ponownych narodzin cieśli po prostu nie ma na tej liście.

Czy istnieje boska inteligencja, odrębna od wszechświata, ale w jakiś sposób kierująca wszechświatem, albo przy jego powstaniu, albo przez podkręcanie jego parametrów? Brak dowodów. Czy sam wszechświat jest Bogiem? Czy wszechświat jest świadomy siebie? My jesteśmy tutaj. Jesteśmy świadomi. Czy to czyni z nas Boga? Czy teraz moja córka będzie musiała chodzić do szkoły kwaków?

Nie wierzę w życie po śmierci, ale chciałabym wierzyć w życie przed śmiercią. Chciałabym wierzyć, że któregoś dnia porzucimy przesady i urojenia, jak również telewizyjne programy ewangelistów. Także naukowcy chcieliby w to wierzyć. Chwilowo jednak jeszcze bardziej chcą uzyskiwać naukowe dotacje.

Autorka: Natalie Angier

Tłumaczenie: Małgorzata Koraszewska

Źródła oryginalne: The American Scholar, Secular Humanism

Źródło polskie: [Listy z naszego sadu](#)

O AUTORCE

Natalie Angier pracuje w dziale naukowym „The New York Times”. Jest laureatką nagrody Pulitzera i autorką książek Natural Obsessions, The Beauty of the Beastly, Kobieta: geografia intymna (przekład Barbara Kopeć-Umiastowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2001) i mającej się niebawem ukazać The Canon: A Whirligig Tour of the Beautiful Basics of Science.